

jest jaka harmonija i jedność w tych odblaskach wszystkich gałęzi wiedzy i poczucia piękna, i czy wszystko co się zjawiało w dziedzinie literatury, nosi na sobie piętno konieczności istnienia i jest jednym stopniem wyżej w rozwoju ducha. Kwestyę tę zostawujemy do rozstrzygnięcia waszym czytelnikom, a sami wracamy do nowych nakładów firmy Józefa Zawadzkiego: *Dwie sceny z wiejskiego pożycia* przez Hryhorowicza; *Zbiór zadań arytmetycznych*, zastosowanych do wszystkich reguł niższej i wyższej arytmetyki, przez Ignacego Jabłonowskiego—by o nich choć pobieżnie zdać sprawę publiczności. Pan Hryhorowicz zrobił już sobie imię w literaturze, jako trafny malarz wiejskiej przyrody i zwyczajów ludu wieśniaczego. Dla nas, jako dla ludu przeważnie rolniczego, wielce jest pożyteczną każda szlachetność dążność wyświeślenia z zamroku niewiedomości warunków życia, ważniejszych cech charakteru miejscowego, oraz podań ludowych zebranych w śliczne obrazki, utkane na kanwie poczytliwego poglądu na rzeczywisty stan rzeczy i szczerego zamiłowania tej warstwy ludzi, zostających jeszcze w moralnych spowijakach, których praca zapewnia byt kraju i jego pomyślność. Dwie sceny z wiejskiego pożycia są jakby dalszym ciągiem poprzedzających prac p. Hryhorowicza; wiele w nich prawdy i sumiennosci, widać wielką postrzegalność i znajomość serca ludzkiego i jedno odważył byśmy się zarzucać p. Hryhorowiczowi, oto brak skupienia i może trochę, za wielką rozciągalność w prowadzeniu scen, niepozabawionych wreszcie interesu i dośkłałności. Może to i niesłuszny zarzut, każdy bowiem pisarz musi mieć swą własną osobistą formę wyrażania myśli; roimy jednak sobie, że gdyby te obrazki, nakształt promieni przechodzących przez soczewki i silnie na jeden punkt ześrodkowanych, mogły się zamknąć w cieńsze ramki wypadków i opowiadań, łatwiej im było osiągnąć założonego celu.

W ułożeniu *Zbioru zadań arytmetycznych* pan Jabłonowski miał na celu ułatwienie praktycznego zastosowania działań arytmetycznych; temu celowi gwoli rozdzielił swój zbiorek na oddziały, odpowiadające wszystkim gałęziom arytmetyki, począwszy od dodawania liczb prostych aż do reguły 3ch spółki, mieszania, wylizania procentów i eskontowania wexłów. Życzyłoby należało żeby przy każdym oddziale był krótki a treściwy wykład zasad, do których się zagadnienia stosują; w takim razie dziełko to mogłoby być użyte jako najlepsza elementarna arytmetyka ze wszystkich wyszłych dotąd w naszym języku; gdyż nie obarczając dziecięcych umysłów suchymi dowodzeniami, łatwiej by wszczepiała każdą regułę, dając możność wielostronnego jej zastosowania. W ścisłe matematycznym znaczeniu reguła 3ch winna być przeniesiona do algebry, lecz w przystosowaniu praktycznym jak do handlu tak też i do przemysłu, wielką mogą przynieść korzyść takowe zagadnienia, zebrane są w nich bowiem wszystkie wypadki możliwe. Rozwiązania trudniejszych zagadnień, jako też wypadki wszystkich, umieścił r. Jabłonowski na końcu, wraz z krótką wiadomością o miarach, wagach i rachubach, do rozwiązania zadań niezbędnie potrzebnych.

Winniśmy jeszcze donieść o zostających teraz pod prasą ważnych nakładach firmy Józefa Zawadzkiego, które chlubę przyniosą wydawnictwu polskiemu. Są to przekłady znakomitych arcydzieł literatury francuskiej w gałęzi nauk przyrodzonych: *Historii nauk przyrodzonych*, podług ustnego wykładu Jerzego Cuviera i badania praw życia i śmierci przez Bichat. Przekładem pierwszego dzieła zajęli się Gustaw Belke, znany w naszej literaturze jako autor mastologii i Alexander Kremer, z niektórych pism lekarskich. Przekład takowy znacznie jest powiększony przez tłumaczy, dodaniem historii nauk przyrodzonych w Polsce. W pierwszym tomie znajdujemy stan nauk przyrodzonych w Polsce w wieku XIII, wspomnienie o pracach optyka Ciołko, Jana ze Stobnicy i Wojciecha Nowodworskiego. W drugim tomie znajdujemy historię botaniki w Polsce w wieku XIV, mianowicie zbiór zielników. Oprócz oddzielnych uwag, rozproszonych po wszystkich tomach, a do rzeczy krajowych się stosujących, dostrzegamy w V tomie szczegółowy rys historyczny przez naturalistów: Kluka, Staszycę, Sniadeckich, Bojanusa, Jundziłła i innych.

Znakomity filozof naturalista Cuvier, co położył kamień węgielny ścisłego pojmowania nauk przyrodzonych, a śmiała ręką odwaliwszy warstwę ziemi odwieczne, z pozostałości kopalnych tego cmentarza minionego życia przyrody wyświetlił tajemnice przejść, jakim podlegał nasz planeta—w ostatnich latach swego życia wykladał potocznie a przystępnie dla ogółu, historię nauk przyrodzonych od pierwszego ich rozwicia. Pan Magdeleine de Saint Agy zebrał i ułożył systematycznie prelekcycje znakomitego profesora, w których najwybitniej się wykazuje genialny jego pogląd na życie natury, gdzie każdy fakt jest zarazem wynikiem całego szeregu poprzedzających go, a przyczyną następnych zjawisk. W wykładzie swęj historii nauk przyrodzonych Cuvier dał w ogólnych zarysach dzieje pasowania się umysłu ludzkiego z tajemnicami przyrodzenia.

Przekład *badania fizjologicznego praw życia i śmierci* został dokonany przez tłumacza fizjologii Vireja. Dzieło to składa się z dwóch części z których każdą możemy uważać już utwor odrębny; pierwsza czysto teoretyczna, ma na celu systematyczny podział życia na zwierzęcy i organiczny; druga zaś na doświadczeniach oparta, stara się oznaczyć rolę mózgu, serca i płuc w spowodowaniu śmierci. W pierwszej części Bichat zamknął swe teorie fizjologiczne, zadziwiające szybkością, ścisłością i jasnością wykładu. Jego podział życia, w obec teraźniejszego stanu nauki, gdy każdy dzień przynosi wciąż nowe plony doświadczeń, nie nazbyt jest ścisłym, bo to, co on nazywa życiem zwierzęcym, jest raczej szeregiem odrębnych czynności nie zaś życiem we właściwym znaczeniu tego wyrazu. Wyraz życia, pociągając za sobą idee bezwzględna, ogólna, zmusił p. Bichat do dotknięcia niektórych drażliwych szczegółów, czego mogłoby uniknąć zostając w sferze więcej ogólnej. Teoria Bichat nie jest wolną wszelkiej nagany; w każdym jednak razie dzieło p. Bichat, które rzuciło nowe światło na badania fizjologiczne i na prawa życia, stanowi epokę w nauce, gdyż późniejsi fizjologowie nic z jego

zasad nie obalili i jeno tylko dopełnili je postrzeżeniami i sprostowali niektóre drobne usterki. Poetyczny i ścisły zarazem geniusz Bichat wykazuje się w tém dziele w całej swęj świętoci. Dzięki obywatelskim chęciom pana Zawadzkiego przysłużenia się publiczności, wzbogaci się wkrótce nasza literatura przekładami tak ważnych dzieł, a tak rzadkich u nas pod względem swęj treści.

Zwróćmy się teraz do codziennych spraw życia, a gdy i w nich nie wiele zajmującego, a między ubiegłymi dniami taka tylko różnica że jeden był słotny a drugi pogodny, darujcie łaskawie waszemu korespondentowi, że nie podnieci waszęj ciekawosci nudnem sprawozdaniem niewesołych powszednich wypadków, bo przecież gdyby sobie pozwolił opisywać jakąś urojoną krainę, gdzie ludzie z ciepłą wiarą a piersią wzdętą zapałem, pomimo zawał i przeszkód dążą za wszystkiem co piękne i szlachetne, do czego serce przyrosło na głucho, oskarżylibyście go o egzageracyę, a więc wolęj wróćmy do rzeczywiści.

Jako nowostkę brukową donoszę wam, że artyści dramatyczni powrócili z Kowna, gdzie ich, niech to będzie między nami, dość oryginalnie oceniali w *Gazecie Codziennęj* a nawet *Warszawskiej*, i rozpoczęli zachwycać publiczność swojemi talentami. No, może i nie zupełnie zachwycać, ale to termin, który użyć należało *par convenance*.

Zresztą zachwycenie jest wynikiem harmonii otrzymanego wrażenia ze zdolnością otrzymywania, a kto wie, możeśmy nie byli zdolni do przyjęcia wrażeń i dla tego może pierwsze reprezentacye nie obudziły wielkiego zapału. Siła wrażenia zmniejsza się przez przyzwyczajenie, i dla tego to słaba ludzka natura wciąż pragnie nowosci i niechce się zadawalniać widzeniem utworów dramatycznych, które już umie prawie na pamięć. Do liczby nowych zjawisk na naszjej scenie musimy zaliczyć pierwsze wystąpienie p. Fabijańskiej, artystki nie bez talentu, przybyłej do nas z Zytomierza. Widzieliśmy ją w roli Maryi Joanny w dramacie *Kobieta z gminu*; rola to nazbyt trudna do oddania, nie mamy więc prawa wyrzec stanowczego wyroku o grze młodej debiutantki. Młoda artystka czuje doskonale wszystkie pozycye dramatyczne, lecz może zanadto unosi się uczuciem i nie może się zastosować do sumiennego oddania myśli autora przez cały przeciąg dramatu.—W grze p. Fabijańskiej dostrzegłismy wiele zadziwiających przejść uczucia matki zastaniającej własną piersią swe dziecko, krzyku macierzyńskiej rozpacz, gdy nędza zmusiła podrzucić swe jedyne dziecko i wiele jeszcze innych scen; lecz przy tych odbłyśkach talentu, cała rola wyglądała jak wypłowiała suknia ubrana w brylantowe ozdoby. A publiczność przyzwyczajona do wykończonęj gry pp. Markowskiej i Palińskiej, wielce jest wymagającą i raczej woli sędzić niżeli pobłażać.

Nam się zdaje, że jeżeli p. Fabijańska otrzęsie się z czasem z prowincjonalnych nawyknień i więcej będzie dbać o naturalność niż o efektywność, powitamy w niej prawdziwą ozdobę naszego teatru. Życzymy jej powodzenia z całego serca, gdyż z oderwanych scen mamy prawo wnosić o wielkich zdolnościach artystki, które

trzeba tylko okrzesać i wypracować. W drugim wystąpieniu naszej artystki, w niewielkiej ale potrzebującej wielkiej znajomości sceny roli w komedyi pod tytułem: *Nienawiść Kobiet*, p. Fabijańska dozwoliła nam właściwie ocenić jej talent, który się z dziwną łatwością i swobodą daje nagiąć do wysokiej komedyi, ale z wielką trudnością do dramatycznych i poryjających pozycji, wykonaniu i wytrzymaniu których stoi na zawadzie słaby głos, a jak możemy wnosić z tego cośmy widzieli na scenie, i słabe zdrowie artystki. O dalszych kolejach naszego teatru w swoim czasie, kiedy będzie o czém, powiemy. W. P.

Kilka słów o Historji Powszechnej Schlossera.

Często widzę w piśmie waszém wzmianki o ważniejszych dziełach literatury zagranicznej i dla tego uważam za rzecz nie całkiem niestosowną wspomnieć o historycznej pracy, której już dawniej kilka słów poświęcić miałem sposobność. Mówię o wielkiej *Historji powszechnej* heydelsberskiego profesora Schlossera (F. C. Schlossers Weltgeschichte für das deutsche Volk), której trzynastcie tomów o 31 arkuszach druku, a sięgających aż do początków XVIIgo wieku, już wyszło na widok publiczny. Jak widzimy i po imieniu autora i po objętości pracy, nie jest to dzieło małej wagi, — a ponieważ nader znaczna część publiczności niemieckiej — jurans in verba sui magistri w tym przedmiocie, — nie będzie się uczyła skąd inąd jak ze Schlossera historyi, słuszną nader rzecz zobaczyć, jakie Sławianom się w niej miejsce dostało.

Wiadomo, że inni historycy europejscy nie koniecznie łaskawi na nas, — ale przecież tak dawniejsze tego rodzaju prace Guttrego i Greya, jak nowsze Beckera i Rottecka a nawet i Cezarego Cantu, uważały naszą przeszłość za godną historyi i przeznaczyły nam jakiegokolwiek miejsce choć na krawędzi tego, co się na widowni świata w ciągu ubiegłych wieków działo. — Całkiem inaczej ma się rzecz z największym dzisiejszym historykiem niemieckim, Schlosserem. — Schlosser, który powiada ciągle, że nie pisze historyi drobnych, zakulisowych szczegółów przeszłości, ale za to wszystkiego tego, co się do ogólnego postępu cywilizacji przyczyniało i co nań wpływało, uważał nas całkiem jakby wypchniętych po za granice tego, o czém warto pisać i mówić. Wspomnieliśmy już dawniej kiedyś, że całe dzieje nasze redukują się w 13-tomowej historyi Schlossera na suchą wzmiankę o Bolesławie Chrobrym, «który nie był całkiem niegodnym przydomku swego», o zamieszanu jakie po śmierci Bolesława Chrobrego nastąpiło, i o jakiejś pobieżnej uwadze o statucie Wiślickim i Kazimierzu Wielkim. — Ale odtąd też bardzo chudo o Polsce w dziele Schlossera. Autor opowiada szczegółowo palenie Hussa, wojnę róż w Anglii, szaleństwo Karola VIgo i Śmiałego we Francyi, zawichrzenia w miastach i księstwach włoskich, konanie państwa Bizantyńskiego. O tej poważnej zaś Rzeczypospolitej Jagiellońskiej, co w zamęcie ogółom XVgo wieku jedna ma rozmow polityczny i wie co robi, łączy się z Litwą, odbiera hołdy Prus, ani słowa. Tak samo robi Schlosser w historyi swjej w XVIym wieku, i Polska dla tego tu

tylko wspomniana czasem, że dawała schronienie emigracyi religijnej reszty Europy, dla której autor, dawniej teolog protestancki, niezaprzeczone ma sympaty. Polska więc w ciągu XVIgo wieku, nie dla tego w dziejach powszechnych zasługuje na wspomnienie, że miała wielkich ludzi, że wrzała życiem i sporami religijnymi, jak cała reszta Europy, że miała wieszczów jak Kochanowski, polemików jak Orzechowski, kaznodziejów jak Skarga, ale dla tego, że do niej uciekł Occhino lub Socynowie, i że prześladowany jaki ziomek i współwyznawca p. Schlessera, znalazł w jej progach gościnne i bezpieczne schronienie! — Wprawdzie historya polska powiązana często tak bardzo z innymi, że jej ominąć niepodobna, i tak znajdujemy naprzykład a propos wojny religijnej i nocy Świętego Bartłomieja we Francyi, ustęp o elekcyi Henryka Walezego, ale zobaczymy, jak Schlosser umie się odwdzięczać temu narodowi, który nowo obranego księcia francuzkiego tak długo na ziemię swą puszczać nie chciał, póki by w pactach conwentach pokoju dla dyssydentów nie zaprzysiągł. Właśnie o tym warunku wspominając, nie wstydzi się pisać protestancki autor: »Nie było to jednakowż jedyne ograniczenie, jakie nowemu królowi nałożono; poprzednio musiał podpisać pacta conventa, które później, jak się też i w Niemczech działo, każdego nowego króla władzę coraz więcej ścieśniały, a znaczenie magnatów powiększały. Cała anarchija ta stała się przez to legalną... Montluc odprawił następnie wjazd do Paryża. Towarzyszyła mu przytém cała rzesza polskich magnatów, którzy swego króla zabrać z sobą mieli. Ci zjeżdżali do Paryża w pięćdziesięciu czterokonnym kolosach. Kosztowne ich futra i mnóstwo klejnotów na ich sukniach obudzały podziwienie, ich straszliwe (furchtbare) postacie i czerwone brody przestraszały.« — Podobnie znajduje się krótka i zimna wzmianka o usiłowaniu cesarza Maksymiljana w celu osiągnięcia tronu polskiego, pod rubryką *Węgier i Siedmiogrodu*; tamżé znalazł także miejsce i Batory »zmuszony do trudnego obowiązku pojęcia 50-letniej Anny Jagiellonki,« — tamżé narzeczcie Zamojski biorący w niewolę księcia Rakuzkiego. — Pod rubryką *Krajów skandynawskich* niepodobna naturalnie było nie wspomnieć, że król szwedzki Jan miał syna, który został katolikiem, nazywał się Zygmuntem, był obrany królem Polskim a stracił tron szwedzki, — ale o osobnym rozdziale poświęconym sprawom i dziejom Polski, która naówczas w ogólnym ruchu cywilizacyi europejskiej bezwzględnie ważniejszą aniżeli Danija lub Szwecya odgrywała rolę, nie pomyślał wcale autor niemiecki. W ostatnim świeżo wyszłym 27ym pozycie swjej historyi powszechnej, odpowiadającym w dziejach naszych całemu panowaniu Zygmunta IIIgo, sprowadza Schlosser Polskę znowu tylko o tyle na scenę, o ile tego szeroko przez niego opowiadane dzieje Danii i Szwecyi wymagają. O Polsce osobno i wyłącznie, znowu ani słowa; ile razy zaś o niej wspomni to nie inaczej jak z widoczną i głęboką niechęcią. I tak »wystawili Polacy roku 1601 wojsko, na którego czele kanclerz Zamojski Inflanty puścił;« pod Kircholmem zwyciężył Szwedów »Polak Chodkiewicz« (der Pole Chodkiewicz).

Daléj »oblegała część wojska szwedzkiego Rygę i wzięła szaniec pod miastem, była jednakowż zniewoloną, gdy nadeszli Polacy pod dowództwem Radziwiłła, cofnąć się znowu. Nie mogli też Szwedzi przeszkodzić temu, aby Polacy w zimie roku 1618, według swego zwycięstwa, nie robili w Estonii i Inflantach haniebnych spustoszeń. Przy tej sposobności pokazał się Gustaw Adolf godnym powołania bronić w Niemczech uciśnionej swobody kazania ewangelii, oczyszczonej ze wszelkich dodatków uczonego fałszu. Zakazał bowiem swoim generałom płacić Polakom odwetem, i prowadzić wojnę z chłopami zamiast z żołnierzami.« — Na podanych wyżej a meco dokuczliwych dla nas ustępach kończy się wszystko, co największy historyk niemiecki w czternastotomowej historyi powszechnej powiedzieć o nas umiał. «Czyż godzi się historykowi, wystudzonemu doświadczeniem, ogromem nauki i 78ma latami wieku, puszczać w tak mały sposób wodze plemiennym niechęciom i nienawiściom?!»

BRACIA ŚLUBNI.

POWIĘŚĆ W 3ch TOMACH

Z CZASÓW AUGUSTOWSKICH,

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

TOM I.

(Ciąg dalszy)

Pan Podkomorzy miał teraz blisko już siedm-dziesiąt lat wieku; średni był wzrostem ale dobrej tuszy. Twarz jego okrągła i pełna nie nosiła jeszcze na sobie śladów podeszłej starości, jakoż i głowa jego, lubo przez połowę już była siwa, jednak do koła okrągła była czarnym i mało co posiwiiałym włosem; ale na umyśle pana Podkomorzego znać już było i wiek i pracę. Wprawdzie umysł ten jeszcze był dosyć czerstwy, sąd jeszcze zawsze zdrowy i poważny i zdanie rozumiejsze od wielu młodszych i mniej spracowanych; jednak były momenta, w których zdawało się, że umysł ten jeżeli nie dzieciennie zupełnie, to przynajmniej coraz bardziej słabnieje i daje się opanowywać nie zawsze już rozsądnym a często nawet dziwacznym zachceniom. A trzeba wiedzieć, że z tém sercem pana Podkomorzego zupełnie inaczej się stało, jak się zwyczajnie dzieje z sercami starców; bo podczas kiedy tamte za każdym włosem siwym przybywającym coraz bardziej tępieją i zamykają się przed światem, jego serce przeciwnie z każdym rokiem stawało się miększym i czulszym i z każdym rokiem coraz bardziej otwierało się ludziom, nie czyniąc pomiedzy nimi żadnego nawet wyboru. Dziwna to rzecz zaiste, jednak niemniej przeto prawdziwa, że człowiek ten, który swojego czasu może nawet aż nadto surowym sędzią był ludzkich uczynków i cenzorem, na starość stał się nie tylko wyrozumiałym i pobłażającym prawie na wszystko, ale nawet i to trzeba powiedzieć, że kiedy kto już był za jakiś postępek potępiony przez całą opinię publiczną, w panu Karsznickim pewno znalazł jeszcze obrońcę. Nie bronili

Patrz Nr. 265, 266, 267, 268, 269, 270, 271, 272, 273, 274, 275, 276, 277, 278, 279, 280, 281, 282, 283, 284, 285, 286, 287, 288, 289, 290.

on wprawdzie nigdy uczynku, jeżeli czynek był zły rzeczywiście, ale na obronę ludzkiego serca i sumienia zawsze umiał coś znaleźć takiego, że wina wedle niego pójść musiała na karb przypadku i okoliczności. Umysł podejrzliwy, przysłuchujący się częstym takim pana Podkomorzego mowom obronnym, niezawodnie byłby zaraz wpadł na ton domysł, że nie co innego być musi tej jego pobłażliwości przyczyną, jeno to, że ostatnimi czasy sam musiał szwankować w jakim terminie pod ciężarem okoliczności; zte języki nawet, na których nigdy na świecie nie zbywa, tak utrzymywały z pewnością i jakimś podobnemu zdarzeniu przypisywały owo nagłe przeniesienie się Podkomorzego z urodzajnej, pięknej i bogatej ziemi w mniej urodzajną, mniej piękną i wcale ubogą; jednakże nikt datami pewnemi tego domyśłu podeprzeć nie umiał, a w rzeczy samej Podkomorzy się tutaj przeniósł dla tego, ażeby zrzucić ze siebie pracę i ciężar urzędu, i reszty dni swoich w spokoju i spoczynku dokonać.

Podjrziwość zresztą każda przeciwko panu Karsznickiemu już dla tego samego musiała upadać, że kto się tylko bliżej przypatrzył jego obchodzeniu się z ludźmi i kto się pilniej przysłuchiwał jego obronom ludzkich słabości, ten widział jawnie, że cokolwiek on mówił, nie mówił z wyrachowania, nie z rozumu, lecz prostotą ze serca, które zawsze i wszędzie z taką miłością i dobrocią otwierało dla wszystkich, że niepodobna było być na to nieuczulym i równym efektem nie odptacać się za to. Przy tém wszystkiém wiele jeszcze pan Podkomorzy zachował przymiotów takich, które jawnie świadczyły o dawnym hartu jego duszy i takiej surowości obyczajów, jaka dawnemi czasy była pospolicim naszym ojców przymiotem a jakiej dzisiaj nie napotykam już nigdzie.

Pan Podkomorzy był bardzo nabożny i codzień rano ze swoim księdzem kapłanem, starszkiem już białowłosym, długie odmawiał pacierze, później do mszy mu służył, księgami się bawił a w dnie postne biczował się z nim pospolicu i różne inne nabożne exercitia odprawiał. Przez resztę dnia każdego, która im od modlitew, dyspozycyji gospodarskich i sądownictwa, które zawsze sam Podkomorzy odprawiał, zbywała, zabawiali się obadwa starcowie ptactwem i rybami, bo obadwa tego obojga wielkimi byli amatorami. Więc prócz dwóch papug cudnie piérzastych, które w dwóch ogromnych drucianych klatkach, osobnego chłopca do swęj postugi mając, stały w Podkomorzego sypialni i oprócz całego szeregu wypchnanych ptaków, rzędami na szafach w téjże jego sypialni stojących, były jeszcze w dolnej części zamku dwa ogromne pokoje, li tylko na rezydencyę dla tego skrzydlatego narodu przeznaczone.

Więc w jednéj z tych izb po wszystkich ścianach od góry do dołu wisiały same klatki, różnej formy i różnego rodzaju, pełne samych rzadkich egzemplarzów różnego ptactwa. Więc były tam papugi większe i mniejsze, był dudek czubaty i cztery sroki z szpakami, był sęp z dziobem skrzywionym, jedna sowa ordynaryjna i trzy rzadkiei piękności puhacze, był kruk czarnopióry, dziesięć i kilka kukułek, było kilkanaście słowików, siedm szczygłów, dwa

oczek wołowe i dwadzieścia kilka kanarków. Każda z tych klatek miała swój numer, kaźden ptak swój przydomek, a którego gatunku było więcej egzemplarzy, to jeszcze i osobne nazwisko. Więc kruk, że był ze wszystkich najstarszy, nazywał się Nestor, puhacz, który raz Podkomorzego w palec ukąsił, nazywał się Piekarski, a drugi, który się śmiał ustawicznie, miał imię Pszonki. Sroka, która własne swe dzieci wydusiła, nosiła imię Rusinowskiej, szpak, który z własnego dowcipu się gadać nauczył, nazywał się Samozwaniec, dwaj inni w ustawnej zgodzie ze sobą żyjący, Castora i P. Aluxa nosili nazwy, a szczygieł, który na palec księdzu kapłanowi zlatywał i do niego szczebiotał, nosił imię Goworka, — cała zaś izba ta nazywała się Pańską komnatą.

Druga izba przez większą połowę zaplantowana była drzewami szpilkowemi, w szeregi regularne ustawionemi i tam już żadnych klatek nie było; tam wróble z trznadłami i pliszkami, jakoż i ze szczyglami, które się niczego nie mogły nauczyć, jako tałałajstwo ptasiego narodu, latały sobie swobodnie po całej izbie, w której tylko po kilku miejscach były porozstawiane naczynia z wodą, rynkawkami prosto ze studni sprowadzaną i ze ziarnem, którego dwaj chłopcy umyślnie do tego odstawieni, codziennie dosypywali. Wszystkie te ptaki nazywali się jedném ogólném imieniem: Chłopi, a izba Gospodą i w niej niedługo zabawić się lubiał pan Podkomorzy; ale natomiast w drugiej często i po kilka godzin się bawił, a wieczorne jadlo zawsze sam własną ręką podawał. I pięknie było widzieć, jako obadwaj ci starszkwowie, pozakasywawszy rękawy, w chustki pełne mięsiva i różnych innych specyaliów zaopatrzeni, do swojej roboty zasiędlili w Pańskiej komnacie, a rozpieściwszy się z ptaszkami, nieraz i w komplementa dla siebie nawzajem się zapuścili. Wielka bo téż przyjaźń była pomiędzy tymi obudwoma starcami.

Ksiądz kapłan był synem poddanego z dóbr ruskich Podkomorzego, przez jego ojca jeszcze w dom wzięty i jego sułtem do szkół Stanisławowskich dopóty posyłany, póki się na teologiją do Krakowa nie dostał. Wyświęciwszy się na księdza, kiedy Podkomorzy właśnie wstępował do wojska i on także się tam zaciągnął, i podczas całej wojny szwedzkiej był spowiednikiem téjże samej chorągwi, w której służył Podkomorzy. Przez cały ten czas służby swojej był prawdziwym ulubieńcem ryercstwa, dobrodziejem i patronem pocztowych, a pociechą i przykładem dla wszystkich. I tak, codziennie rano mszę czytał chorągwi i spowiadał chętnych; przy wolnych godzinach nauki im dawał i Pismo Święte czytywał, lazarety pod swoją dyrekcją utrzymywał; w razie ucisków lub innych niedogodności do Hetmana i wyższych komend postował, a w potrzebie nieprzyjacieli bijał zarówno z żołnierstwem. Przy nacieraniu na nieprzyjaciela widziano go zawsze, z krzyżem w jednéj a z szablą w drugiej ręce, na przodzie chorągwi, kiedy strwożonych i rozproszonych mordowano z łatwością, jego już nigdy nie było na placu boju, za uciekającymi on nigdy nie gonił, ale swoim pierzchającym zawsze z krzyżem zastępował na drodze i w imię Chrystusa nazad na nieprzyja-

ciela obracał, a z bojowiska nigdy nie ustępował pierwej, póki konających nie wypowiadał, na śmierć nie pobłogosławił, nie zebrał rannych i nie pogrzebał umarłych. Nawet kiedy nieprzyjaciel plac boju otrzymał, on szablę odpaśawszy i pieszo na pobojowisko przyszedłszy, umiał się od napaści nieprzyjacielskiej uchronić i swojej powinności dopełnić. Miał téż stąd wielkie zachowanie u całej chorągwi, ale większe jeszcze ba! miłość prawie u pana Podkomorzego. I nie dziwna! jako jeszcze młodego i niedoświadczonego natenczas ochronił on go nieraz od śmierci niechybnej, raz nawet samym sobą jego życie zastąpił, a pomagając go zawsze dobrą radą i hamując niewczesne niecierpliwéj młodości zapędy, był jakby jego aniołem stróżem przez cały czas wojny.

Te zasługi kapłana cenił i zawdzięczać umiejac, kiedy się wojna skończyła i spokój piękny osiadł na miodem i mlékiem płynących Rzeczypospolitej niwach, Podkomorzy sam powracając do domu, zabrał kapłana ze sobą. Nie miał wiele co robić ksiądz w kawalerskim domu i rwał się zrazu niecierpliwie, chcąc koniecznie iść gdzie na parafję lub do zakonu, ale nie puścił go Podkomorzy, mówiac: — Ot, siedź u mnie księże, kiedy ci dobrze. Pomogaj mojemu plebanowi w jego obowiązkach, a kiedy się ożenię, urządź kaplicę w moim domu i zrobieć cię w niej kapłanem, a drugim sobą w mojej kieszeni. — I dał się ksiądz kapłan namówić, i pozostawszy natenczas w Podkomorzego domu, nie opuścił go aż do teraz, a przyjaźń, która jeszcze w młodości pomiędzy nimi się zawiązała, z latami tak się utrwaliła, że przedéj-by podobno Podkomorzy rozstał się był ze swoją fortuną, niżeli z tym przyjacielem.

Oprócz tego tak pięknego związku nierozwanej przyjaźni, miał jeszcze pan Podkomorzy i związek drugi, który za równie piękny przykład powinien być służyć sąsiadom i całemu ctaczającemu go światu. A związkiem tym pięknym było jego małżeństwo.

Pan Podkomorzy nie ożenił się był z miłości. Poznał on żonę swoją przypadkowo na Leskim zamku, dokąd na imieniny JW. Stadnickiej, Wojewodziny Wołyńskiej z JW. Potockim, Starostą Halickim, na dni kilka przyjechał. Na tym festynie wraz ze wszystką co znakomitszą szlachtą z sąsiedztwa był także i pan Bal, Podkomorzy Sanocki, z swoją córką Urszulą. Panna była młoda natenczas i znakomitej urody, a że ród jej był niepospolity i nie małe za nią fama niosta posagi, więc kawalerowie kręcili się koło niej jak pszczoły około najpełniejszej róży. Panu Karsznickiemu ani na myśli nie były konkury; miał on lat przeszło czterdzieści i serce jego zahartowane na daleko wynioślejszych efektach, aniby się umiało było zniżyć do zniewieściatęj miłości. Ale przypadek zdarzył, że Anna Urszula, której umysł był także poważniejszy i stateczniejszy nad lata, nie chcąc ośmielać ani więcej jeszcze zbliżać do siebie dobijających się o jej względy młokosów, kilka razy pana Podkomorzego wybrała do tańca. Nie uważał tego prawie i za nic sobie miał pan Karsznicki, ale zauważywszy wziął to sobie *ad notam* pan Starosta Halicki. Podobno nawet zakomunikował to zaraz JW. Wojewodzinie, a

jako to panowie lubią sobie przy zdarzonej okazji krotoczwile czynić z losów szlachty pomniejszej, nie wybadawszy rzeczy ani wyrozumiawszy statecznie obustronnych okoliczności, rozpoczęły się swaty. Z początku szła trąbaszka uporem, ale kiedy się państwo wzięli do tego na zuchwał, to tydzień cały przeciągnięto festyny na Leskim zamku i taki zakończono je zaręczynami Podkomorzego z Podkomorzanką. W kilka tygodni potem odbyło się huczne wesele w Balogrodzie, a w kilka dni po weselu przybył ziemi Halickiej dom nowy, otwarty i gościny, jakich prócz domów pańskich nie wiele liczyła natenczas ta ziemia.

Pomimo tego ożenienia się tak nagłego, przed którym obiedwie strony prawie całkiem nie miały czasu na to, ażeby się poznać nawzajem a nie mówię już, aby wzajemne ku sobie obudzić afekta, piękna i bardzo stateczna miłość związała się z czasem pomiędzy tym małżeństwem. Podkomorzy był zawsze dobry, delikatny i grzeczny dla swojej żony, ona zaś tak cicha, potulna, całkiem domem i modlitwami, na które mi zawsze wiele czasu trawiła, zajęta, że podczas kiedy byłoby się znalazło aż nadto wyrozumiałości z obojej strony, ani on ani ona nie mieli do pokazania jej sposobności. Wyprzedzali się zatem tylko małżonkowie oboje w grzecznościach dla siebie i wyprzedzali się tak, że przez lat dwadzieścia kilka ich szczęśliwego pożycia ani jedna chmurka nie zamąciła ich domowego spokoju.

Małżeństwo to, jakieśmy wspomnieli powyżej, pobłogosławione było dwojgiem żyjącego potomstwa. I jaki był syn ów, który przez służbę ukraińską chciał się koniecznie dorobić starostwa, dowiemy się wtenczas, kiedy on otrzymawszy od Króla starostwo, albo utraciwszy jego otrzymanie nadzieję, przyjdzie do domu rodzicielskiego i zdybie się gdzieś z nami w niniejszej powieści; ale o córce, która już się nam pokazała na oczy, możemy powiedzieć z góry, że tak sercem jak i usposobieniem umysłu dziwnie się odrodziła od obojga rodziców.

I było-li temu przyczyną spazzone cokolwiek wychowanie, czy ze zbytecznego afektu pochodzące pobłażanie i nieuwaga matki na nią czasu jej dziecięctwa, czy nakoniec od natury już takie jej dane przymioty, trudno dzisiaj rozstrzygnąć; to jednak pewna, że panna Barbara, albo jak ją ojciec lubiał nazywać, Barbara, nie miała w sobie ani statecznego rozsądku i niepokalaniej w poczciwości duszy po ojcu, ani owej rzewnej tkliwości serca, owej cudnie pięknej pokory i pobożności, którą nad wszystkie matrony swojego czasu podnosiła się matka. Były nakoniec jeszcze i takie w niej zachcenia i upodobania, które jakkolwiek uderzały niezwykłością i może kogo zajmować mogły, jednak żadną miarą ani przystawały natenczas ani dziś przystoją kobiecie.

Panna Barbara była bardzo piękną z powierzchowności. Piękność jej wprawdzie nie uderzała ani ową regularnością rysów, ani spokojnym blaskiem pięknego oka, ani przezroczystością i alabastrową białością płci, ani nakoniec owym smętnym i poczciwym uczuciem wybijającym się w całej twarzy wyrazie, jakim się szczyścić mogła córka Zahoczewskiego dziedzica, — i twarz jej była cery smągławej,

nos orli, oko czarne pełne blasku ale zarazem i jakiegoś więcej przeszywającego niżeli ujmującego pełne ognia, a wyraz cały ostry i surowy; jednakże przy tém wszystkiem niepospolitej piękności nikt jej nie mógł odmówić. Panna Barbara była w ruchach prędka i żywa, w mowie dowcipna i poznająca się prędko na rzeczy, ale porywca i niecierpliwa we wszystkiem, jako świadczyły wieczorem porożrywane tasiemki u gorseta i sukien a rankiem nie naturalnie rumiane jej garderobianej policzki. Nie modliła się ona nigdy albo bardzo rzadko, a wtenczas prędko, ksiąg nie czytała żadnych i piórem się nie bawiła, ale za to dzielnie jeździła na koniu, strzelała celnie z flinty i z pistoletu, polowanie lubiła od serca, chartami szcuć sama umiała i często ją można było widzieć przechodzącą się środkiem po konskiej stajni, albo przypatrującą się ciekawie, jak się ogary pożerały przy cebrach pełnych zaparzonej ospyki. Słudzy Balogrodzkiego zamku zeszedłszy się ze sługami dworów sąsiednich, dziwne rzeczy opowiadali o tej paniencie. I tak, między innymi utrzymywali oni z pewnością, że jest złą, złośliwą, zawziętą a w swęj zawziętości nieubłaganą, że sobie często coś do kogoś upatrzy i niektórych ludzi znieawidza już z pierwszego wejrzenia, że jest tyranem dla stajennych i masztalerzy i że podczas, kiedy z woli pana i pani nikt-by może dotychczas nie był ani wytuzowany, z jej rozkazu nimało już bizunów rozdano. Dalej opowiadali ci słudzy, że całe gospodarstwo Balogrodzkiego państwa w jej pozostaje ręku, że tylko jej wola dzieje się w zamku, że pan ani pani nie śmia jej się w niczem przeciw, a ksiądz kapelan drzy przed nią jak żołnierz przed surowym hetmanem. Te opinie potwierdzili oni opowiadaniem różnych wypadków, których byli sami świadkami a czasem na swoje nieszczęście i uczestnikami; jednakże wierzyć im natenczas było niepodobna, a to o tyle bardziej, ile że każdemu wiadomo, czego nie wymyślą niedobre sług zepsutych języki. Tym plotkom także i dla tego jeszcze wierzyć nie było podobna, ile że niektórzy sąsiedzi, którzy już panu Podkomorzemu oddali swą czolobitność na Balogrodzkim zamku, uważali to wprawdzie, że panna Barbara śmieliej mówi przy gościach niż inne córki szlacheckie, i jej głos ma swoją pewną wagę u rozpadających się nad nią rodziców, jednakże słowa jej były zawsze tak rozumne i umiarkowane, jej uszanowanie dla rodziców tak stateczne i szczerze, że przy pomocy jej ury i fortuny, same tylko pochwały roznosiły się dla niej po okolicy.

Tak opisawszy zamek Balogrodzki i figury w nim mieszkające, powracamy do dalszych wypadków.

W tydzień prawie potem, kiedy panna Barbara ustrzeliwszy braciom ślubnym przed samym nosem zajęcia i wiedząc o fatalnem nieudaniu się polowania, (bo o każdym polowaniu musiała ona mieć zawsze jak najprędszą i najdokładniejszą relację) uczyniła im z niego złośliwy podarunek, — po wielu pochmurnych i dżdżystych piękny dzień jesienny zawitał. Słońce bladym promieniem oświecało opustoszoną z urdzajów ziemię i opierając się o coraz bardziej czerniejące szpilkowe lasy, nadawało ca-

łej okolicy smutny jakiś i ponury, ale zarazem piękny i serca nie wesołe do bujnych uczuć pobudzający widok. Piękną jest ziemia w lecie, kiedy dojrzałością darów Bożych, jakoby matka o los dzieci troskliwa, otwarte ku nam wyciąga ramiona; piękniejszą jest jeszcze o wiosnie, kiedy aksamitną okryta zielenią, pełna róż i słowików, jakby dziewica balsamicznym oddechem upaja serca nasze i rozplomienia umysły, piękniejszą jest wtenczas i lubią ją taką serca młode i rozkoszy życia pragnące: lecz serca męzkie, które już wiele doświadczyły uczuć i wielu zawodów, umysły poważne, które mniej o rozkoszach a więcej myślą o kapłaństwie tego żywota, które pragną nie uczuć lecz czynów, nie złudzenia ale pożytku, wołają wicher chłodny jesienny i szelest liści żółkłych opadających z lasów i step gładki i pusty, na którym w dali widać pełne wzniosłych pamiątek mogiły..... wołają widzieć ziemię natenczas, kiedy pracowitego i pełnego chwały dokonawszy żywota, z błogosławieństwem dzieci swych wolnym krokiem idzie na odpoczynek, niżeli w jaszkrawe jak tanecznik ustrojwszy się szaty, rozwartemi ustyma uśmiecha się i weseli do serc naszych zakrzepłych, do wesołości ani do śmiechu nie skłonnych.

Panna Barbara także musiała umieć czuć piękność jesieni, a konające promienie słońca i wędniejące burzany i krzewy musiały w jej sercu obudzać także myśli ważne i zajmujące, bo onego dnia po południu stała ona, jedynym ramieniem o drzwi oparta, na zamkowej galerii i patrząc wprost na lasy czarne jak skrzydła nocy, zdała się bardzo być zamyśloną. Miała ona na sobie suknię długą wełnianą, turkusowego koloru, na niej tunikę czarną aksamitną jedwabnie pętlami ozdobną, a podczas, gdy na jej głowie spoczywał tenże sam mały węgierski kapelusz, który miała podczas swojej przedtygodniowej przejażdżki, w ręku prawym trzymała pręcik misternie włosieniem opleciony i ruszając ustawicznie tą ręką, biła się nim w koniec zgrabnego skórkowego bóćka, który wyglądał z pod sukni.

Po komnacie, w której drzwiach otwartych na galerię wiodących stała zamyśloną Barbara, tam i napowrot z szkapłermem w ręku przechodziła się pani Podkomorzyna i poglądając często na obraz Matki Najświętszej, naprzeciwko drzwi zawieszony, mówiła paciérze. Był to dzień piątkowy i pani ta miała zwyczaj przez cały dzień taki być z suchotami, nadto jeszcze wdzięwała ona wtedy na siebie włosienicę i pas skórzany, goździkami nabyty na gołe ciało, aby ból sobie ustawicznie zadając, tém lepiej pamiętała na rany Chrystusa Pana, przez które w tenże sam dzień otrzymane, świat zbawiony został od grzechu pierworodnego. Cały ten dzień prawie mając modlitwami zajęty, wystrzegała się ona strasznie wszelkiej z ludźmi rozmowy i dla tego to zapewne jej córka tak samotnie i mileżąco ulokowała się na galerii.

(Dalszy ciąg nastąpi)

Do dzisiejszego numeru dołącza się Korrespondent Nr. 83.

Telegrafy Elektryczne Morsego i Siemensa, są do oglądania przy ulicy Długiej Nr. 536, w dziedzińcu, od godziny 10ej rano do 5ej po południu, gdzie P. Aumana objaśni działania tych urządzeń.